

PROLOG

Coś lepkiego wisiało nad miastem. Budynki spowite mgłą zdawały się nie istnieć. Od wód rzeki po dachy budynków gęste chmury wypełniały przestrzeń niczym wielka wata cukrowa nadziana na betonowy patyk, tworząc przedziwny krajobraz na granicy jawy i snu, Krainy Czarów i Wielkiego Balu u Szatana. Choć trwało lato, w powietrzu wisiał słodko-duszny zapach jesieni: palonych liści, dymu i niepokoju. Nikt nie wiedział, co wydarzy się za chwilę. Była w tym nadzieja, był też podskórny lęk. Przejeżdżające samochody, tramwaje sunące ospale po szynach, rozszalałe telefony komórkowe i obcasy miarowo stukające o kostkę brukową zamilkły. Cisza wżerała się w zakamarki miasta, wypełniała bramy starych kamienic, hulała po gankach rozpadających się domów, tarasach nowoczesnych apartamentowców i po podziemnych parkingach przeszklonych biurowców, rozpierała chodnikowe fugi, asfaltowe dziury i kruszące mury wiekowych budynków. Ulice zdawały się puste i zapomniane, jakby żywcem wycięte ze starych fotografii. Kolory, nocą nasyczone, rozświetlające ciemność, za dnia wyblakłe, wymęczone,

rozmyły się, zgasły, zamieniając przestrzeń w monochromatyczny pejzaż. Wszelkie ruchy i gesty skąpane w mglistej rzeczywistości zastygły, jakby mgła zmroziła wszystko, co stało jej na drodze, łącznie z mieszkańcami nieświadomie biorącymi udział w tym niekończącym się *mannequin challenge*.

I kiedy wydawało się, że nie ma już nic, albo wręcz przeciwnie, że teraz, zaraz zacznie się wszystko, *grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, hajsu zdobywanie, żywot wieczny, seks bezpieczny, ramen*, gdzieś pomiędzy światem a zmierzchem, o bliżej nieokreślonej porze, trochę jakby poza czasem, pierwsze promienie słońca przebiły grubą mglistą bańkę, stopniowo i bezwzględnie wyciągając na światło dzienne wszystko to, co miało pozostać w ukryciu. Wiatr zadał na akord, w wariackim tempie przeganiając gęstą masę, i oto ponadtysiącletnie cielsko, stare i zmęczone, dyszące i osamotnione, zostało w końcu obnażone.

Wyrwani z letargu ludzie, jakby wyczuwając własną transparentność, szczerzej owijali się kurtkami z lumpeksu i bluzami z poliestru, nieufnie spoglądając na innych. *Tu idzie pan, tam idzie pani, pan ma faksz w oku, a pani dziurę w kroku*. Powietrze stopniowo wypełniał zapach bycia: tanich perfum, zakazanych substancji, wypartych żądz, spoconych pach i problemów gastrycznych. W domach z betonu opiekunki do dzieci naprędce odpalały papierosy i przypalały kremy z brokułów, zaś emerycy bezczelnie uwalniali odór rozkładu i naftaliny przez rozszczielone okna, zamiast po ludzku położyć się na wersalce gdzieś pomiędzy krzyżem a paprotką, złożyć dłonie na piersi, umrzeć. Żule urzędujący na parkowych ławkach, zbudzeni przed chwilą promieniami słońca rozproszonymi w koronach drzew, łaskoczącymi powieki, teraz w pośpiechu ładowali do tramwajów swoje kraciaste torby i foliowe reklamówki, bez słowa, acz skutecznie perswadując współpasażerom opuszczenie pojazdów. Mistrzowie NLP, fascynaci neurolingwistyki, wierni fani Mateusza Grzeziaka, ogorzali od gorzały sterowali ruchem drogowym niczym

wpływowi milionerzy, Gazele Biznesu, w końcu ich też goniły deadline'y – puszki się same nie zbiorą, a butelki nie opróżnią. Szalona orkiestra pod batutą trąbiących kierowców zmierzających do domu, ryczącej młodzieży przesiadującej na osiedlowych ławkach i bezpańskich psów wyszczekujących ciszę z podwórkowych bram grała niestrudzenie i coraz głośniej, rekrutując w swoje szeregi kolejnych amatorów dźwięków wysokich częstotliwości. Dzieci ujadły pod trzepakami, niepomne wołania matek, matki szlochały ukradkiem nad utraconą młodością i zlewami pełnymi garów, a ojcowie, poważni i zatroskani, zgromadzeni pod sklepami i garażami, perorowali nad kondycją człowieka w dobie konsumpcjonizmu. Rozmawiali o przyszłości bezrobocia, czteropakach w promocji, dostępności kurew na wylotówkach oraz o sprawdzonych technikach przemocy domowej. Z lotu ptaka widać było ich maleńkie ciemne główki otoczone sieciami ulic i skwerów, rzek i mostów oraz lasów i pól promieniujących niczym święta aureola. Zapierające dech w piersi krajobrazy polskiej ziemi, ziemi wybranej i uświęconej, z minuty na minutę odzyskiwały swoje pierwotne barwy, absolutne masthewy mijającego sezonu: wątrobową żółć, zaprzepaszczoną zieleń oraz najprawdziwszą czerń prosto z głębokiej dupy.

Wszystko powoli wracało na miejsce, porządek świata został przywrócony, a On, niczym chirurg precyzyjnie rozcinający naskórek i tkanki, odsłoniwszy pulsujące narządy w całej ich brzydocie, marskości i kakofonii, mógł w końcu rzucić to wszystko w pizdu i raz na zawsze zaprzeczyć swojemu istnieniu.

I nie było już tajemnicy, i nie było już gdzie się schować.

01

ONE

JULKA

Siedzimy zamknięte w wąskiej kabinie, drzwi drżą od basu, tłum skanduje, *ukryty w mieście krzyk*, podłoga jest śliska i mokra, powietrze wypełnia woń zatkanych kibli i tanich papierosów.

– Nie tak, tutaj posyp! – Lola się wścieka i kładzie na desce klozetowej stronę wyrwaną z jakiejś gazety. Na pierwszym planie blondynka w bluzce z dekoltem do pasa i cyckami wywalonymi na wierzch rozmawia przez komórkę. Podpis: „Iza Bella i jej nowy iPhone wysadzany brylantami wart 700 tysięcy złotych!”

– Co ty czytasz?! – pytam, ale ona nie słyszy, patrzy z wycekiwaniem na moje dłonie, które rozsuwają plastikowy woreczek zapinany na specjalny czerwony zameczek. *Pan kotek był chory...*

– Co to za nowość? – Lola cała chodzi, przestępuje z nogi na nogę i nerwowo oblizuje usta. I chciałaby, i boi się. Znam tę małą zdziwę jak własną kieszeń. Nie odpowiadam. Wysypuję zawartość woreczka na gazetę i zaczynam dzielić ścieżki kartą kredytową, którą nigdy za nic nie zapłaciłam. *Będzie pani*

zadowolona. Papier gazety jest śliski, towar się przewala, nie potrafię uformować ładnych cienkich linii, jestem pijana. To błąd. Człowiek nie powinien pić i robić interesów w tym samym czasie. Klnę pod nosem.

– Musisz mieć tę gazetę? – warczę poirytowana.

– Z klopa wciągać nie będę. – Lola wydyma wargi i bezwiednie drapie się po jajach.

– Laski nie drapią się po cipkach w miejscach publicznych. Taki hint, gdybyś nie wiedziała – informuję, formując czwartą kreskę.

– Toaleta to najbardziej prywatne miejsce, jakie znam. Idealne do drapania się, po czym tylko zechcesz – szepcze Lola. Kładzie dłoń na mojej piersi i zaczyna jeździć po niej delikatnie paznokciami. Trwa to dosłownie kilka sekund, bo gdy tylko widzi, że w końcu podzieliłam stuff, nachyla się nad gazetą i w ekspresowym tempie ładuje dwie krechy do nosa.

– O kurwa, kurwa, kurwa. To jest dobre. Spektakularne wręcz. Jakbym wąchała myszkę ostatniej dziewczycy.

– Czyli bierzesz?

– Oczywiście, skarbie. Daj ze dwa giety, dziś mogę poszaleć. – Lola wyciąga rulon setek ze swojej minitorebusi mieniącej się od cekinów. Wymieniam towar na pieniądze, które chowam do kieszeni spodni. Wciągamy jeszcze po kresce, wstaję, podchodzę do drzwi. Lola chwyta mnie w pasie od tyłu i napiera swoim penisem na moje pośladki.

– To jak? Jedziemy do mnie? – pyta.

Nie znam drugiej kobiety z tak wielkim kutasem.